

Języki mniejszościowe na scenie

Obrazki z konferencji „The sound of minority languages in theatre”

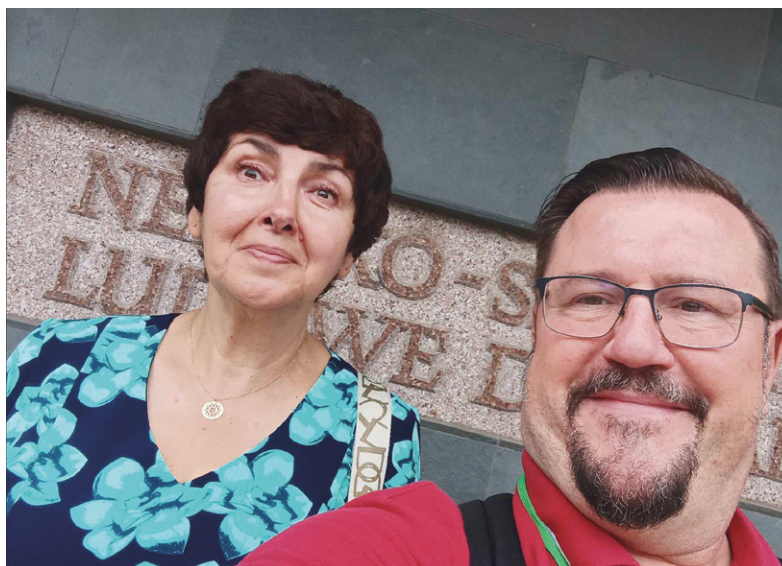
Wiosną zadzwoniła do mnie Mariola Abkowicz z propozycją uczestnictwa w międzynarodowej konferencji w Łużycko-niemieckim Budziszynie/Bautzen. Zaproszenie otrzymała od swojego przełożonego, profesora Tomasza Wicherkiewicza, kierownika Zakładu Polityki Językowej i Badań nad Mniejszościami Instytutu Orientalistyki UAM. Specjalnością naukową i pasją profesora Wicherkiewicza są języki mniejszościowe – i te zupełnie małe, i te odrobinę większe, zagrożone wyginięciem. Organizatorzy konferencji „Brzmienie języków mniejszościowych w teatrze” poprosili go o wygłoszenie wykładu poświęconego językom zagrożonym w Polsce i ich reprezentacji scenicznej oraz o wskazanie zamieszkałych w Polsce przedstawicieli społeczności mniejszościowych, którzy mają doświadczenie teatralne i mogą swobodnie wypowiadać się i pisać w języku obrad, czyli angielskim.

Niestety ani Kaszubi, ani Litwini, ani posługujący się językiem wilamowskim nie podjęli wyzwania, za to doczekali się doskonałej prezentacji swoich osiągnięć w trakcie wykładu profesora. Z terenów Polski przyjechaliśmy tylko my troje – profesor, karaïmska babcia oraz karaïmski bard. W trakcie przygotowań do konferencji pomyślałam bowiem, że może warto międzynarodowe grono artystów teatru oczarować dźwiękami

karaïmskiej poezji śpiewanej. Misza Kuliczenko nie miał wolnych czterech dni, ale zgodził się przeznaczyć sobotę 1 lipca na występ w Bautzen, oddalonym o dwie godziny jazdy pociągiem od Wrocławia.

Zanim jednak zaakceptowano nasze zgłoszenie, kierująca projektem „phōnē – Giving minority languages a voice” („phōnē – Oddajmy głos językom mniejszościowym”) Elisa Braun z Hamburga

Hanna Pilecka i prof. Tomasz Wicherkiewicz przed Niemiecko-Łużyckim Teatrem Ludowym.
Fot. Tomasz Wicherkiewicz



umówiła się ze mną na platformie ZOOM i w trakcie godzinnej rozmowy wyjaśniła mi ideę konferencji. Zaplanowany między kwietniem 2022 a październikiem 2024 r. projekt „phōnē”, mający na celu ochronę i promocję kultury różnorodności językowej, a współfinansowany przez Unię Europejską, koncentruje się na działaniach i współpracy ośmiu europejskich teatrów, których przedstawienia odbywają się w językach regionalnych, mniejszościowych i rdzennych. Konferencja w Bautzen, która się odbędzie w jednym z partnerskich teatrów, pozwoli uczestnikom projektu poznać kolejne wspólnoty językowe i ich twórczość. Głównym celem obrad będzie identyfikacja konkretnych przykładów dobrych praktyk i działań oddolnych, a także budowanie nowych synergii. Konferencja ta wpisuje się w deklarację Międzynarodowej Dekady Języków Rdzennych proklamowanej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych na lata 2022–2032, aby zwrócić uwagę na krytyczny status wielu rdzennych języków na świecie i zachęcić do działań na rzecz ich zachowania, rewitalizacji oraz promocji.

Czerwiec miałam lingwistycznie pracowity, co rusz proszono mnie o napisanie materiałów na konkretne tematy, przygotowywałam swój wykład, uczyłam się słów i wymowy wiersza *Karaj edim*, *Karaj barmen* oraz tłumaczyłam go na angielski. Ten przekład i niektóre materiały, wraz z tekstami dostarczonymi przez pięćdziesiątkę pozostałych uczestników oraz zdjęciami, w każdej chwili mogę odtworzyć na telefonie, bo weszły w skład mobilnej aplikacji „Bautzen Conference”. Rozwiązanie genialne, eliminujące drukowanie i przywożenie ton papieru, co tak mnie męczyło podczas dziesięcioleci zawodowej aktywności i uczestnictwa w konferencjach pedagogicznych oraz projektowych.

28 czerwca we Wrocławiu z Mariolą tworzyłyśmy wizualną oprawę moich zaplanowanych wystąpień, dobierając zdjęcia i wzruszając się wspomnieniami ze spektakli w Trokach i w Polsce, a dzień później Koleję Dolnośląskie powiozły mnie piękną zieloną trasą do Bautzen. Pierwsze spotkanie zaplanowano na godzinę dwudziestą, więc zdążyłam pospacerować po atrakcyjnym architektonicznie i zadbanym miasteczku, gdzie wszystkie szyldy i tabliczki z nazwami ulic są dwujęzyczne. Przy kolacji, poza angielskim, rozmawiałam po francusku z tą z organizatorek, która wcześniej wymieniała ze mną maile w swojej ojczystej

mowie, a także po polsku z wielojęzycznym reżyserem bukaresztańskiego teatru jidysz, który kiedyś przez parę miesięcy realizował spektakl w Warszawie, a teraz korzystał z kontaktu z mieszkanką Polski – tak samo radośnie, jak ja z tą Francuzką o łużyckich korzeniach... W następnych dniach lista moich języków do nieformalnej konwersacji poszerzyła się o hiszpański oraz rosyjski, ten ostatni na prośbę młodej Rosjanki, która, uciekając z mężem z reżimowej Moskwy do zachodniej Europy, przeszła drogę od Gruzji przez Stambuł – brzmi znajomo, prawda?

Rankiem 30 czerwca po lewej stronie sceny Deutsch-Sorbisches-Volkstheater (Niemiecko-Łużyckiego Teatru Ludowego) para Łużyczan w strojach narodowych czekała na gości z chlebem i solą. My – przedstawiciele zaproszonych piętnastu mniejszości – nie mieliśmy jednak łatwo. Wchodziliśmy po kolei, każdy na swoje trzy minuty, od prawej strony. Pośrodku sceny ustawiona była wielka jak u Kafki brama, wersja maxi bramki kontrolnej na lotnisku. Trochę nerwowo witaliśmy się w swoim „mniejszym” języku, ale elektroniczny głos surowo informował nas po angielsku, że nie rozpoznano naszej tożsamości. Dopiero kiedy wygłosiliśmy żarliwą przemowę albo płomienny wiersz (jak *Karaj edim*, *Karaj barmen*), zaśpiewaliśmy ladyńską piosenkę z Dolomitów lub poprowadziliśmy gimnastykę w języku squamish, gadająca brama łagodniała i uzyskiwaliśmy występ

Fotografie z przedwojennych oraz współczesnych spektakli w Haliczu, Trokach i Wilnie dodały rumieńców wykładowi o historii, języku i kulturze Karaimów.

Fot. Tomasz Wicherkiewicz



na teren Łużyc przy aplauzie kolegów machających nam łużyckimi flagami... Podobno pobiliśmy światowy rekord – nigdy wcześniej na jednej scenie w tak krótkim czasie nie rozbrzmiało aż tyle języków! Bretoński, dolnoniemiecki, fryzyjski, galicyjski (z Hiszpanii), hawajski, irlandzki/gaelicki, jidysz, karaïmski, kataloński, kweński, ladyński (nie mylić z ladino), łużycki, meänkielei, noongar, squamish, język Saliszów Nadmorskich – i tylko odrobina angielskiego...

Piątkowe obrady i dyskusje poświęcone były zamorskim gościom konferencji. Australijski aktor opowiadał o działalności teatralno-tanecznej związanej z rdzenną kulturą jego przodków i języka noongar, o tym, jak kolejne już pokolenie – jego mniej więcej dwudziestoletnie dzieci – odkrywa swoją tożsamość przez taniec. Reżyser z Honolulu przybliżył nam historię hawajskich imigrantów i wielokulturowość obecną dziś w jego teatrze. Aktorka wywodząca się z Saliszów Nadmorskich skoncentrowała się na historii przesładowań, jakich ofiarą padali ci rdzenni mieszkańcy Kanady, na systemie przymusowej edukacji, który ma na sumieniu masowe groby uczniów. Ale wspomniała też o znanym nam już z aplikacji zespole, jaki stworzyła z matką i siostrą. Matka reprezentowała kluczowe dla zachowania ich kultury zjawisko *storytelling*, ustnego opowiadania historii, przekazywania ich z pokolenia na pokolenie, natomiast o córkach mówiła „mythmakers”, „twórczynie mitów”. Bo też one łączą i rozdzielają motywy, przekształcają opowieści, wzbogacają je o inne nuty i puenty, nie zapominając o klasycznym przesłaniu. To refleksyjne wystąpienie żywiłowo dopełniła potomkini innego plemienia Saliszów Nadmorskich, która, jak niegdyś jej ojciec i dziadek, zajmuje się kulturową edukacją – oprócz *storytelling* także nauczaniem języka squamish, kuchnią, tkactwem, tańcem i śpiewem zgodnymi z tradycją.

W piątek też nas zaproszono na dwa monodramy z udziałem licznych kukiełek, typowe dla tego dwujęzycznego teatru lalki i aktora. Pierwsze uroczyste przedstawienie adresowane do dzieci było po łużycku, a jako Polka i Karaïmka czułam się uprzywilejowana – rozumiałam zarówno źródłosłów słowiański, jak proces nawarstwiania się naleciałości niemieckich. „Jeden bom” musi oznaczać „jedno drzewo”. Wieczorny spektakl był po niemiecku – w teatralnym ogródku piwnym, perfekcyjnie zagrany, dość posępny, znakomicie przetłumaczony na angielski w słuchawkach.



W sobotę rano przyjechał Misza Kuliczenko i po krótkiej próbie gitary pogналиśmy na obrady. Nasze wystąpienia zaplanowano w sesji poświęconej mniejszościowym językom z Europy, a rozpoczynającej się wykładem profesora z Uniwersytetu Lipskiego o łużyckim. Po dyskusji o języku gospodarzy oraz po prezentacji katalońskiego w formie nagrania rozmowy na platformie ZOOM (niestety prelegent nie mógł dojechać) przyszedł czas na karaïmski. Opowiadałam o nim po angielsku, podobnie jak chwilę później Misza o swoich piosenkach, ale ta sesja obrad skończyła się silnym brzmieniem języka naszych przodków, hucznymi brawami dla wykonawcy i licznymi wyrazami zainteresowania w trakcie przerwy kawowej. Chwilę potem siedzieliśmy na widowni zafascynowani wystąpieniem profesora Wicherkiewicza i przygotowaną przez niego prezentacją multimedialną o językach i teatrze trzech mniejszości w Polsce. Wykład ten w wielkim stylu zamykał część konferencji poświęconą odczytom.

Większość soboty i niedzieli spędziliśmy na dyskusjach panelowych w grupach, spisywaniu konkretnych rozwiązań i propozycji oraz referowaniu wniosków na forum mniej więcej

Musical „Rodzina Addamsów” na plenerowej scenie budziszyńskiego Burgtheater zachwycił nas wspaniałymi głosami wykonawców i pomysłami inscenizacyjnymi.
Źródło: <https://phone.rml-theatre.eu/2023/conference-bautzen/>

czterdziestoosobowym. Zgodnie z założeniami organizatorów, staraliśmy się „razem zbadać, w jaki sposób możemy wspierać się nawzajem w przeszłości, otwierając nowe możliwości dla sektora teatrów przemawiających w języku mniejszości i poprawy ich pozycji w kraju i za granicą”. Nasze *action points* stanowią podwaliny aplikacji do UNESCO o utworzenie globalnej sieci współpracy artystów i teatrów występujących w językach regionalnych, mniejszościowych i rdzennych.

Po południu w niedzielę zwiedzaliśmy z przewodnikami zakamarki teatru, stare miasto i muzeum w miejscu NRD-owskiego więzienia, a długie kilometry wspólnego spaceru pomiędzy obiektami poświęciliśmy na mnóstwo prywatnych dialogów. Salizsom Nadmorskim opowiadałam o tworzeniu spektakli na zakończenie dorocznej szkoły języka karaïmskiego w Trokach. Aktorce z Honolulu – o zespole „Dostłar”. Młodziutkiemu fryzyskiemu dramaturgowi – o relatywnie sporej wolności artystycznej w Polsce z czasów ZSRR, o Uniwersytecie Jagiellońskim i naszym firmowanym przez niego teatrze studenckim (był bardzo zaskoczony, że mogliśmy go mieć, i usatysfakcjonowany historyjką o tym, jak zapieczętowano go na szesnaście miesięcy w stanie wojennym). Bretończykom w wieku moich dzieci – o odbywających się w latach 80. wspaniałych festiwalach teatralnych w historycznej stolicy Bretanii, Nantes. Kweńskiemu reżyserowi, który w Norwegii wystawiał sztuki Witkacego i chciał wiedzieć, gdzie można zobaczyć plastyczne prace artysty – o słupskim muzeum i przy okazji o pobliskim Słowińskim Parku Narodowym. Zbierałam też od innych opowieści, na przykład fryzyska pani reżyser pytała mnie o historyczny kontekst decyzji swojego polsko-żydowskiego dziadka, który w pierwszej połowie lat trzydziestych wyemigrował do Francji, gdzie przeszedł na katolicyzm, a Australijczyk mi wyznał, że zaczął się uczyć języka noongar dopiero przed czterdziestką, ze względu na swoje dzieci.

Wieczorem zebraliśmy się po raz ostatni w teatrze na pożegnalną potańcówkę. Takie rzeczy zdarzają się też nauczycielom na zakończenie konferencji, lecz na pewno nie na tym poziomie! Tutaj to było nieustanne tworzenie spektaklu z widzami nieznanymi kontekstu, jednak otwartymi na inspiracje. Zaczęło się od luźnyckiego „tańca butów”, dość akrobatycznego, ale i demokratycznego – najpierw Fryzyczyk szył mi buty, potem ja jemu. Następnie reżyser z Brestu ustawił nas



owalnie jak do zorby, kazał się mocno spleść ramionami i zaintonował bretońską pieśń o oczekiwaniu na osiemnaste urodziny – każdy kolejny miesiąc znaczyło szybsze tempo! Kiedy Irlandka zaproponowała taniec, stwierdziłam, że to już nie dla karaïmskiej babci, i z zapartym tchem obserwowałam, jak w ciągu parunastu minut dziewczyna stworzyła zgrany układ szesnastu ludzi. Później przyszedł czas na animatorkę squamish, która podzieliła nas na cztery grupy reprezentujące zwierzęta. Ja trafiłam do dość dramatycznej grupy wilka, lecz najlepsze były chyba ryby – trzeba było widzieć siwiejących panów, jak wachlowali się płetwami, wyskakiwali na powierzchnię wody czy robili uniki przed rekinem... A na koniec szef teatru jidysz wyreżyserował – nie można tego nazwać inaczej – taniec *Gdybym był bogaty* i widocznie był z nas zadowolony, bo wciąż na nowo puszczał nagranie. Kiedy przestał, byliśmy mocno zmęczeni, ale uśmiechnięci. „Jakby człowiek miał znowu szesnaście lat” – szepnęła do mnie bardzo młoda Francuzka, ja niemądra odparowałam: „Też się czuję, jakbym znowu miała sześćdziesiąt”, po czym buchnęliśmy śmiechem jak dwie sześciolatki.

I tak to wydarzenie pragnę zapamiętać – jako radosne, pracowite święto szacunku, wyobraźni i tolerancji. Zachęcające do opowiadania tradycyjnych historii, ale i do tworzenia mitów. Bo czas przyspiesza jak bretoński taniec, a na lotniskach świata jeszcze można usłyszeć „Karaj edim, Karaj barmen”.

Nieśmiałe początki burzy mózgow podczas tworzenia aplikacji do UNESCO.
Źródło: <https://phone.rml-theatre.eu/2023/conference-bautzen/>

Hanna Pilecka